Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 51.

dnia 20. Listopada 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

OFIARY UCZUCIA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez Marję Grochowalską.

(Ciąg dalszy).

Czy podobna opisać pierwsze chwile małżonków których tylko wielka i prawdziwa połączyła miłość? — Są to chwile największego w życiu szczęścia, chwile nadziemskich rozkoszy, których profanować opisem się nie godzi. Szczęśliwy, kto je zaznał, któremu złoty klucz miłości otworzył bramy raju! Pamięć o nich będzie mu świecić wiecznie na ścieżce żywota, i tem jaśniej, im w grubszą pomrokę pogrąży się dalsza jego droga...

Celina wśród nich zapomniała o przejściach bolesnych — o wszystkiem — o świecie całym! Utonęła w szczęściu wśród pieszczot męża i ukochanego syna. Świat dla niej nie istniał, bo dla niej całym światem był uścisk jego, nadziemską rozkoszą drobna pieszczota!

Służba pokochała dobrą i łagodną panię, a nawet Wawrzyniec twierdził teraz: „że pan miał słuszność, iż nie chciał hrabianki, która jak mężczyzna na koniu harcuje, i w męzkich sukniach ze strzelbą na ramieniu, warjuje po polach i lasach.“

Dwa tygodnie minęło od przyjazdu do Młynicy, a dotąd trudno im było wybrać się do Proszowa. Tadeusz czuł, że przewinia w obec najzwyklejszych form światowych i przyjaźni, która łączyła go z tym domem, ale nie miał odwagi spojrzeć w oczy Loni. Zdawało mu się, że bliższe poznanie się tych dwóch kobiet, rzuci cień jakiś na szczęście, którego dotąd zażywał. Znając także nie krępowaną niczem naturę Loni, obawiał się, by Celina nie dostrzegła lub nie domyśliła się tej nieszczęsnej miłości, którą Lonia pałała. — Celina zaś najszczęśliwszą czuła się w domu i zadowoloną, że nic nie przerywało słodkiego sam na sam — więc nie spieszyła się z przypomnieniem obowiązków grzeczności.

Ranek był piękny i Tadeusz wraz z żoną zasiadł na ganku do śniadania, gdy sługa w piaskowej liberji, z herbowemi guzikami, ukazał się na koniu. Upiął go przy bramie, a sam z nizkim ukłonem zbliżywszy się do siedzących w ganku, podał list Tadeuszowi.

Celina nie dostrzegła lekkiego rumieńca, który przemknął po twarzy Tadeusza, gdy dotykał podanego pisma. Drobna ta łuna przemknęła jak światło błyskawicy i ze spokojem list rozpieczętował. Przebiegłszy go oczyma, podał Celinie i

— Decyduj — przemówił po francuzku.

Ta podany list przeczytawszy, odrzekła:

— Zdaje mi się, że niepodobna odmówić łaskawym zaprosinom.

Tadeusz wstał, nie mówiąc więcej słowa, a po napisaniu kilku wierszy, odesłał służącego z odpowiedzią.

List był z Proszowa następującej treści:

„Z polecenia babci i mamy i w ich imieniu, proszę Pana wraz z żoną dziś do nas na obiad. Jest to szesnasta rocznica mych urodzin i chcemy ją święcić obecnością przyjaciół, do których licząc Pana, spodziewamy się zaliczyć i Panią Celinę. Niegrzeczni, którzy dotąd o nas sobie nie przypomnieli, zechcą się może poprawić, przychylając do prośby szczerych przyjaciół.
Lonia“.

Celina — mimo że sama przed sobą nie chciała się przyznać do tego — uczuła się tą wizytą dziwnie zaniepokojoną. Ubierając się, przymierzyła po raz pierwszy kilka strojów, kierując się wewnętrzną próżnością kobiety. Chciała być piękną, piękniejszą od Loni, by porównanie ich obydwu na jej wypadło korzyść. — Za przybyciem swojem do Młynicy, zastała pełne szafy i kufry najwykwintniejszych strojów, które Tadeusz — korzystając z praw małżonka — posprowadzał dla niej, gdyż jako narzeczona nigdy nic od niego przyjąć nie chciała.

Celina nie lubiła klejnotów, jednak dziś z prawdziwą przyjemnością ozdobiła garniturem z pereł i szafirów szyję, uszy i jasne długie włosy, co przy czarnej, ciężkiej, jedwabnej sukni czarujący sprawiało efekt. To też zobaczywszy się w dużem źwierciadle, pierwszy raz w życiu tak ustrojoną i piękną, zarumieniła się i

z całem szczęściem lat dwudziestu uśmiechnęła z zadowoleniem, wdzięczną prawie będąc zaprosinom z Proszowa, które jej dały sposobność ukazania się taką oczom męża. Zniecierpliwiona oczekiwaniem zapukała do drzwi jego:

— Tadziu, jam już ubrana i czekam — zawołała, a gdy on wyszedłszy z elegancją lecz poważnie ubrany, obaczył ją tak strojną i piękną, z uwielbieniem złożył ręce i szepnął:

— Celino... tyś nie tylko najdroższa ale i najpiękniejsza z wszystkich kobiet na świecie!...

Ona z rozkoszą przytuliła się do niego i wśród pocałunku odrzekła:

— Jeśli potrzeba być piękną, by utrzymać miłość twoją, chcę być nią, być muszę — i starać się będę, by wdzięki i miłość moja nie dopuściły zmiany w twem sercu...

W godzinę potem elegancka kareta zatrzymała się przed wspaniałą werandą pałacu Proszowa. Dwóch lokai w gustownej liberji skoczyło otworzyć drzwiczki i pomódz wysiadającym, którym otworzywszy drzwi do dalszych komnat, sami cofnęli się do przedpokoju.

Hrabina babka w jedwabnej, bronzowej sukni i czarnej, koronkowej chusteczce na siwych włosach, postąpiła ku nim parę kroków, a podając im ręce, rzekła uprzejmie do obojga:

— Powinnabym się gniewać, że tak długo dajecie państwo czekać na siebie, lecz zobaczywszy panią, przebaczam, gdyż pojmuję, że krzywdę wam robimy, przerywając choćby na chwilę ich lubą samotność.

Tadeusz starał się wytłumaczyć i z przyjemnością spostrzegł, jak Celina nie zmięszana obcem jej towarzystwem, z swobodą i wesołością rozpoczęła rozmowę o rzeczach potocznych. Nie widywał jej dotąd w towarzystwach, więc obawiał się trochę zbytniej nieśmiałości.

W kilka minut weszła Klara, która ubrana starannie i bogato, dziś jeszcze prawie piękną była. Zaczęły się nowe przedstawiania i zwykłe formułki czczych grzeczności, któremi posługujemy się w pierwszych chwilach poznania.

Bawili już może z godzinę, a Loni dotąd widać nie było. Tadeusz i Celina ciągle zwracali oczy na drzwi, spodziewając się ją ujrzeć wchodzącą, gdy Joanna rzekła:

— Zaczynam być niespokojną o Lonię...

— Jakto — przerwał z pospiechem Tadeusz — gdzież jest panna Lonia?

— Ot! pan ją znasz — co to za dobre — kochane ale dziwaczne dziecko. Zniecierpliwiona oczekiwaniem państwa, zapragnęła przejechać się swoim zwyczajem i popędziła konno, przyrzekając wrócić przed dwunastą; — tymczasem pierwsza dochodzi, a jej jeszcze nie ma! Jakaś nie bardzo zdrowa i zmieniona od niejakiego czasu...

— Nic dziwnego — przemówiła Klara. — Skończyła dziś lat szesnaście, a w tym wieku panienka już potrzebuje towarzystwa, zabaw, gwaru miasta, a nie tej wiejskiej ciszy i samotności, w jakiej żyje obecnie. W tym wieku w sercu dziewczęcia budzą się już jakieś dziwne pragnienia, odzywa się samowiedza istnienia, a przedewszystkiem żądza życia, zabaw i rozkoszy...

W tej chwili odbił się o uszy rozmawiających, tententent galopującego konia, a spojrzawszy przez otwarte okno salonu, obaczyli Lonię zeskakującą z siodła. W sekundę otwarły się drzwi z trzaskiem i wbiegła cała zarumieniona od szybkiej jazdy, a może... może przyspieszone tentno serca wywołało te różyczki...

Dziwnie czarującą była w tej chwili! Ubrana była w swój strój ulubiony: Długa, ciemno błękitna amazonka, wdzięcznie drapowała się na słusznej i smukłej postaci, a wysoki, czarny kapelusz z błękitną woalką czynił ją jeszcze słuszniejszą i nadawał całości wdzięk nieokreślony. Smagłe, rozgorączkowane lica i czarne, duże, błyszczące oczy, harmoniowały z włosami kruczego połysku, które w naturalnych zwojach wysuwały się z pod kapelusza i spadały na szyję okoloną śnieżnym, wązkim kołnierzykiem.

Stanęła w drzwiach otwartych i pierwsze jej słowa, z któremi obiedwie ręce wyciągnęła ku Tadeuszowi były:

— Przyrzekłeś pan, że choć się ożenisz, kochać mnie nie przestaniesz. Czy tak pan dotrzymujesz słowa?!

Zwracając się zaraz do Celiny i patrząc na nią ciekawie, rzekła:

— Więc to aż takiej trzeba piękności, by zyskać miłość pana?... — i witając ją uprzejmie, dodała:

— Dlaczegoście państwo nie przywieźli z sobą waszego dziecięcia? Nie widziałam prawie nigdy z bliska maleńkich dzieci — zdaje mi się, żebym je bardzo kochała... Kogo pani bardziej kochasz: męża czy dziecię?

Okrutną była Lonia w tej naiwnej niewinności i bezwiednie biedną Celinę brała na tortury. Szczęściem kamerdyner otworzył szeroko podwoje, oznajmiając, że waza na stole.

Po tej pierwszej wizycie, częstsze wzajemne pomiędzy temi dwoma domami nastąpiły odwidziny. Celina ujęła sobie serca wszystkich swym anielskim charakterem, jakoteż pięknością i wykształceniem, a mały Bolcio przylgnął zupełnie do Loni, która dowiedziawszy się już teraz, że to jest dziecię z pierwszego małżeństwa, zapytała raz matkę na osobności:

— Powiedz mi mamo, dlaczego ty drugi raz za mąż nie wyszłaś; — zostałaś przecież młodą i piękną po śmierci ojca?

— Bo kochałam go całą duszą i wiecznie, przeto nie mogłam poślubić innego — odrzekła ze łzami zapytana.

Lonia zamyśliła się. — Więc Celina nie kochała pierwszego męża! Dlaczego więc wyszła za niego? Nie kochała go, a jednak poślubiła... więc może i Tadeusza nie kocha?.... Ale czyż można Tadeusza nie kochać?... Nie, to niemożliwe... a jednak... a może... — aż tchu jej zabrakło na myśl, która przemknęła przez jej

głowę! — Gdyby Celina go nie kochała, gdyby on się o tem przekonał... mógłby... mógłby, ją... Lonię pokochać... a wtedy... a wtedy... lecz co wtedy?...

— Mamo — szepnęła drżącym głosem i uklękła przed nią. — Mamo, czy nigdy nie zdarzają się wypadki, ażeby mężczyzna żonaty kochał inną?

Matka zerwała się przestraszona:

— Dziecko, dziecko — zlituj się nad sobą! Zkąd ci myśli takie straszne!

Lonia usunęła się z kolan i usiadła u nóg jej na miękim dywanie. Podniosła głowę i patrząc jej w oczy śmiało i bez rumieńca, odrzekła:

— Zkąd mi te myśli? zaraz ci powiem mateczko. Tobie tylko jednej, bo ty tylko zdołasz mnie zrozumieć, bo ty pierwsza odgadłaś, co się w mej duszy dzieje, pierwej, zanim ja sama to poznałam. Otóż zdawało mi się, że widywać Tadeusza — mówić z nim — patrzyć na niego — będzie dostatecznem dla mnie szczęściem, że to mi wystarczy i pragnień innych mieć nie będę... Od kilku jednak miesięcy, jak widuję go przy żonie — słyszę ich słowa miłośne — patrzę na ich pieszczoty — szarpie mnie coś w łonie — pali jak rozpieczone żelazo! Dziś mam już inne pragnienia — dziś widok jego mi nie wystarcza — dziś pragnę być kochaną! Matko! za miłość jego — za rok szczęścia przy nim — oddałabym życie — zbawienie — wszystko i wszystkich! — mówiła prędko, a głos jej w końcu przeszedł w drżenie namiętne.

Klara tuliła dziewczynę do łona, starając się jej ukazać straszną przepaść tej miłości gwałtownej. Lonia słuchała długo, a w końcu szepnęła:

— Ha! cóż robić! Ja przestać go kochać nie potrafię i nie chcę — on kochać mnie nie może. Niech więc płynie dalej łódka mego życia bez wiosła i bez sternika.

W kilka dni potem Lonia i Celina przechadzały się po cienistych alejach parku Proszowa. Wśrod jakiejś rozmowy zapytała Lonia:

— Powiedz mi pani szczerze i bez ogródek — wszak jesteś szlachetną, więc kłamać nie potrafisz — czy bardzo kochasz Tadeusza?

Celina stanęła nagle i wpatrzywszy się przenikliwie w oczy Loni, odrzekła:

— Kocham go tak silnie, że nie ma ofiary, której bym dla niego nie poniosła. Poświęcić życie — skazać się na wieczną rozpacz, łzy i cierpienia — dla jego szczęścia byłabym zdolną!

Lonia postąpiła parę kroków dalej:

— A gdyby — szepnęła — a gdyby on pokochał inną?

Celina zbladła:

— Gdyby pokochał inną — i ręką przycisnęła piersi — gdyby pokochał inną — powtórzyła głosem już pewnym — na sumieniu tej, któraby mi wydarła miłość jego, zaciężyłoby sieroctwo dziecięcia mego, zaciężyłaby śmierć moja, bo chwila w której bym go zobaczyła w uściskach innej, byłaby ostatnią w mem życiu!

Karmazynowy rumieniec oblał twarz Loni, a dreszcz nerwowy wstrząsł jej ciałem.

Przeszła długa chwila milczenia, po której jednak śmiało spojrzała w oczy Celiny:

— Jaka ja szalona jestem, prawda? że pytam panią o takie rzeczy! Proszę mi przebaczyć. Nie miałam nigdy z młodemi kobietami do czynienia — czytałam bardzo mało — nie znam więc życia i uczuć ani z teorji nawet — a bardzo jestem ciekawa — i roześmiała się głośno, przeciągle, spazmatycznie.

W kilka dni potem Lonia usiadła na stołeczku u nóg babki i przytuliła się do niej pieszczotliwie.

— Babciu — rzekła — babciu, cobyś też powiedziała, gdybym ci zaproponowała szalony zamiar?

— Starałabym się wybić go z twej upartej główki — odpowiedziała Joanna całując krucze jej włosy.

— A gdyby ta główka nie tylko upartą ale i złą była, i nie chciała się pozbyć swych myśli? — zapytało dziewczę.

— Natenczas zobaczylibyśmy — ale ja już wolę dowiedzieć się o co chodzi, bo może gorzej wypaść domniemywanie moje, niż jest w istocie.

— Otóż babciu moja — ciągnęła Lonia — wszak wiesz o tem, że już jestem prawie dorosłą, a dotychczas prócz Proszowa i jego okolic nie widziałam więcej świata. Duszno mi tu! — w świat babciu moja — w świat trochę — jeśli nie chcesz, bym tu się udusiła — i jednym tchem wyrzekłszy te słowa, w głos się rozpłakała.

— Loniu, Loniu — dziecko moje drogie, kochane — zawołała babka tuląc ją do siebie — co ci jest, co ci się stało? Dlaczego płaczesz, zkąd te łzy i smutek? Chcesz wyjechać trochę? — dobrze i owszem. Dawno noszę się z tą myślą — tylko stara jestem, leniwa — i tak, myśląc codziennie o tem, że czas by cię światu a świat tobie pokazać — odkładałam aż do wiosny projekt wyjazdu — ale kiedy ty już sama czujesz potrzebę odetchnienia powietrzem na szerszej przestrzeni świata — więc dziś jeszcze wydam potrzebne rozkazy i wyjedziemy na zimę do miasta. Tylko dziecko jedyne moje nie smuć się — nie płacz — mów śmiało jak zawsze — a wszystkie marzenia twej ślicznej główki zaspokoję z pewnością.

— Jakaś ty dobra babciu kochana — zawołało dziewczę wesoło. — Jam nie warta tego! O! moja najlepsza babciu, tylko prędko — tylko wyjeżdżajmy jak najprędzej, bo mi się zdaje, że umarłabym, gdybym tu jeszcze dłużej pozostała!

Tego samego dnia nad wieczorem, Lonia wyjechawszy konno na przechadzkę, spotkała Tadeusza, który również na koniu wyjechał w pole. Zobaczywszy ją z daleka, chciał niepostrzeżenie nawrócić konia, gdy ta zawołała:

— Czekaj pan, nie uciekaj, powiem panu dobrą nowinę.

— Dla czego pani mówisz: nie uciekaj? Zkąd przy-

puszczenie podobne? — odrzekł Tadeusz przycwałowawszy, a stając obok jej karosza, podał jej rękę — Nowinę? — jaką powiesz mi pani nowinę?

— Że najdalej za dwa tygodnie wyjeżdżamy — daleko — daleko — w świat szeroki — za góry i wody! — odpowiedziała głosem, który miał dziwny dźwięk niby namiętnego śpiewu.

— I to ma być dobra nowina? — spytał Tadeusz, a spojrzawszy w czarne oczy dziewczyny, uczuł, że krew uderzyła mu do twarzy.

— A dobra — bardzo dobra — prześliczna nowina! dobra dla mnie — lepsza jeszcze dla pana...

— Nie rozumiem pani... mówisz tak zagadkowo — odrzekł zmięszany Tadeusz.

— Nie kłam pan, proszę — rozumiesz mnie doskonale. Dowód jeden więcej, że spostrzegłszy mnię, chciałeś uciec. Dlaczego spuszczasz pan oczy przed spojrzeniem mojem? Widzisz pan, ja nie unikam wzroku jego — i głośno powiem raz jeszcze — raz ostatni — że kocham cię — kocham całą duszą — i dla tego muszę uciekać! Kocham cię i wiecznie kochać będę, lecz gdybyś pan kiedykolwiek jedno słówko miłości skłamał przedemną, pogardziłabym tobą! Dziś kocham cię — czczę — wielbię — i żegnam, żegnam, może na zawsze!... — i szarpnąwszy uzdeczką, popędziła jak strzała.

Było to ostatnie sam na sam.

W wigilję wyjazdu przyjechał Tadeusz wraz z żoną, pożegnać raz jeszcze drogie sąsiadki. Lonia była weselsza jak zwykle — mówiła głośno — śmiała się jeszcze głośniej — ale tak słowa jak i śmiech, były jakieś nienaturalne, gorączkowe.

— Powinnibyśmy pogniewać się na panią — rzekła Celina do niej — że jej tak spieszno nas porzucić.

— O! nie gniewajcie się i uważajcie pospiech mój i pragnienie szybkiego wyjazdu za gorzkie lekarstwo, które łatwiej wychylić od razu, jak smakując kropla po kropelce jego gorycz i cierpkość — odrzekła ze łzami w oczach. Wzięła potem małego Bolcia na ręce, i tuląc jego jasną główkę do piersi, rzekła:

— Bolciu, żal ci będzie za mną? nie zapomnisz o mnie? — Nim się znowu zobaczymy, ty już będziesz duży — duży — a ja stara! Cha! cha! cha! jakto śmiesznie będzie!

— To pani na tak długo wybierasz się? — zapytał Tadeusz zdumiony i z żalem.

— Może na długo — może na zawsze — kto wie... — przynajmniej nie pragnę wrócić prędzej, aż się wszyscy postarzejemy... Na wesele Bolcia — dodała z uśmiechem.

— O, nie! Na wesele swoje musisz pani przyjechać — wszakże tradycyjnie w kaplicy pałacu Proszowa odbyć się musi — odrzekł Tadeusz.

— Moje wesele — powtórzyła głosem bez dźwięku — wesele moje... któżby mnie kochał i kogoż bym ja już kochać mogła! — i podparłszy się na ręku, zamyśliła głęboko.

Gdy w wieczór wszyscy poczęli się żegnać, polecając wzajemnej pamięci, Lonia nie rzekła już ani słowa — tylko podała młodym małżonkom ręce w milczeniu, a potem:

— Jedźcie już, jedźcie — zawołała gwałtownie i wybiegła z pokoju.

Gdy państwo Ilscy wracali w milczeniu do domu, w pół drogi dostrzegł Tadeusz łzy płynące po licach żony.

— Cóż to Celino? ty płaczesz? — zapytał.

— Żal mi Loni... ona bardzo nieszczęśliwa!...

Tadeusz westchnął.

— Ona ciebie kocha Tadeuszu — szepnęła cicho Celina i sparła główkę na jego ramieniu.

— Ale ja tylko ciebie kocham najdroższa — i ramię jego opasało jej wiotką kibić i usta ich się spotkały.

Na drugi dzień ciężka, parokonna kareta zajechała przed dworzec kolei. Dwóch lokai sprowadziło ze stopni najpierw starą hrabinę, potem Klarę. Długą chwilę czekali przy otwartych drzwiczkach, a trzecia podróżna nie wysiadała.

— Loniu, Loniu — zawołały naraz obydwie panie — wysiadaj.

— A! przepraszam! — odezwał się głos wewnątrz karety — nie uważałam, że już stanęłyśmy na miejscu — i lekko wyskoczywszy podbiegła Lonia ku starszym paniom.

W kilkanaście zaledwie minut pędem strzały nadleciał kabryolet z przeciwnej strony i również zatrzymał się przed dworcem. Mężczyzna siedzący w nim, obaczywszy karetę, odetchnął z głębi piersi i szepnął sam do siebie:

— Szczęściem, żem się nie spóźnił, bo już się obawiałem.

W dwóch krokach stanął na peronie, a obaczywszy te które szukał, zbliżył się szybko, całując w rękę hrabinę babkę, rzekł:

— Przebaczą mi panie, że jestem im aż tu natrętnym i nudzę moją obecnością, ale trudno mi było wysiedzieć w domu, mogąc je jeszcze raz pożegnać. Bo doprawdy — tak jakoś mi przykro i dziwnie że panie nas opuszczacie — tak trudno się z tem oswoić...

— Jesteśmy panu bardzo a bardzo wdzięczne, za ten nowy dowód jego życzliwości i przyjaźni dla nas — odrzekła Joanna.

Klara dodała kilka słów uprzejmych, tylko Lonia siedziała milcząca i smutnie w dal zapatrzona.

Tadeusz zbliżył się do niej, a uścisnąwszy podaną rączkę, rzekł głosem wyrzutu:

— Sądziłem, że pani nie potrafisz być tak nielitościwą!

— Dlaczego? — zapytała.

— Bo odjazd ten jest jej dziełem. Bo naszego osamotnienia jesteś pani przyczyną.

— Jakże pan możesz mówić o osamotnieniu, mając swój śliczny świat przy sobie?! Gdybym ja to mówiła — a! to co innego... No, ale wdzięczną jestem panu za chwilkę, którąś pan nam jeszcze na pożegnanie

ofiarował — zasługujesz na pochwałę i nadgrodę. Niegdyś nie chciałam dać panu kwiatków na pamiątkę, by nie zwiędły, nie chcąc tem przepowiadać że i moja... przyjaźń zwiędnąć może. Dziś — nie mam nawet kwiatka przy sobie — a chciałabym mu dać coś w upominku... Ja zapomnieć nie potrafię — i nie chciałabym być zupełnie zapomnianą... — jakżesz na to poradzić?

— Daj mi pani jeden serdeczny uścisk twej dłoni — jedno wymowne twoich ócz spojrzenie — jedno słówko — ale takie, które zapomnieć się nie da! — szepnął namiętnie Tadeusz ku niej pochylony.

— Toby było tylko powtórzeniem tego, co — pojęłam to już — powtarzać nam nie wolno! Lata miną zapewne, nim się zobaczymy, o! bo nie prędko tu już powrócę, gdzie zostawiam moje wszystko — moje szczęście — mój świat cały!... Jeżeli pan kiedy usłyszysz co o mnie, to pomyśl, że... że... A! pociąg! Babciu, pociąg — zawołała i łzę ukradkiem otarłszy, podała jeszcze rękę Tadeuszowi. Potem złączyła się z stojącemi o kilka kroków paniami, które właśnie rozmawiały z jakiemś towarzystwem, oczekującem również nadejścia pociągu i dodała:

— Panią Celinę pozdrów pan odemnie serdecznie, a Bolcia proszę sto razy ucałować — sto razy — pamiętaj pan, ani razu mniej!

Tadeusz podał ramię starej hrabinie i pomógł im wsiąść do wagonu. Gdy już wszystkie wewnątrz się ulokowały i konduktor zamknął drzwiczki, a Tadeusz stanął na stopniu wagonu, Joanna i Klara żegnały go jeszcze serdecznemi wyrazy. Lonia nie rzekła ani słowa — nie pożegnała go już ani skinieniem głowy, tylko duże, czarne jej oczy utkwiły w niego, jak gdyby chciały spojrzeniem głębokiem wpić mu się w pamięć na zawsze — a gdy pociąg z przeraźliwym świstem ruszył i Tadeusz zeskoczył ze stopnia, zamknęła oczy — jakby obraz jego chciała na wieki zatrzymać w sercu i duszy, i dwie grube łzy stoczyły się z zamkniętej powieki.

Tadeusz długo stał i śledził kłębiącą się parę nad umykającym pociągiem, a gdy stracił go już z oczu zupełnie, wstrząsł głową, jakby chciał z tamtąd wypłoszyć jakieś myśli i skoczywszy do kabrjoletu, kazał jechać powoli. Żal mu było Loni — żal więcej, niż sam przed sobą chciał przyznać — czuł magnetyczną siłę jej spojrzenia — czuł palący go żar jej miłości — brzmiały mu w uszach jej słowa — jej śmiech nie szczery, którem biedne dziecię chciało zamaskować żal i ból młodego serduszka — i nie chciał w tym stanie spojrzeć w czyste a jasne oczy żony.

Gdy stanęły jednak konie przed gankiem i obaczył śliczną, oczekującą go Celinę, pierzchły wszystkie niemiłe myśli z jego głowy, a witając ją uściśnieniem, rzekł uprzejmie:

— Przywożę ci pozdrowienie serdeczne od podróżnych naszych. Pojechały już... — tem lepiej — prawda aniele drogi?

— Lepiej dla niej — odrzekła Celina — bo ja przecież mogę być pewną twego serca, a ta pewność jest dla mnie rajem!

(Koniec pierwszej części. Dalszy ciąg nastąpi.)

KWIAT TAJEMNICZY.

(Ciąg dalszy).

Nie śmiała zaczepić panny Chênois i spytać się ją czy znała Leonsa. Temat to był zbyt drażliwy. Heloiza zresztą, jakby przeczuwała myśli wirujące po głowie hrabiny, zaczęła wesołe opowiadania o ich życiu zakulisowem, przeplatając takowe dowcipnemi anegdotkami i uwagami o różnych wybitnych osobistościach.

Tak do Wiesbaden dojechały. Na peronie ujrzała Irma zdaleka panie de Nangis, w asystencji kilku panów.

Blanka z uniesieniem radości, rzuciła się wujence na szyję.

— Widzisz dziecię, dotrzymałam słowa i jestem — uśmiechnęła się do niej słodko Irma, a zwracając się do Heloizy:

— Jeszcze raz pani serdecznie dziękuję, za miłe chwile z tobą spędzone. Do zobaczenia panno Chênois.

Blanka, słysząc to nazwisko, zbladła straszliwie. I ona mimo całej swojej niewinności, zasłyszała coś o Heloizie i jej bliskim stosunku z Leonsem. Czy przyjeżdża, aby jej wydrzeć skarb najdroższy?

— To ona! ona niezawodnie! — szepnęła głucho tancerka. — Ten sam kolor mają włosy, które nosi w medaljonie; i tak zbladła na mój widok. *Vederemo!*

Panowie z lekka dotknęli się kapeluszy, witając Heloizę. Wstydzili się przyznać do tej znajomości, w obec margrabiny i jej córki. De Lussac także z daleka ją pozdrowił. Heloiza przeszła koło nich z głową dumnie podniesioną, z wyrazem ironji i pogardy na ustach kurczowo zaciśniętych.

Jeden Durand pospieszył jej z pomocą. Niegdyś syn uczciwych i zamożnych rodziców, uczeń celujący, cała nadzieja ich starości, gdy raz dostał się do domu gry i wpadł w szpony Maksa, ze szczebla na szczebel spadając, został wreszcie, majątek przehulawszy, *croupierem* po prostu. On już nic nie miał do stracenia i mógł w dzień biały pokazywać się z baletniczką.

— A więc jestem na miejscu — szepnęła jadąc w powozie hotelowym Heloiza, rzuciwszy okiem na dom gry, tak jej dobrze znany. — Rozpoczyna się walka zacięta, strzeż się ty jasnowłosa anielico, żeby cię Satanella nie pokonała.

XIV.

ZŁY DUCH ZWYCIĘŻA.

Wielkie sale w tak zwanym *Kurhauzie* płoną morzem światła; ogród i najbliższa promenada rownież lampami kolorowemi w kształcie kwiatów rzęsiście oświetlona, nad stawkiem tylko i na wysepkach żadnej lampy nie widać, prócz bladego światła księżyca, który w całym swoim spokojnym majestacie płynie po niebie, rysując fantastycznie wysepek i mostku kontury.

Na kilka dni przed balem kostjumowym, który miał być najświetniejszy w tym sezonie, zjechał i mąż Irmy do Wiesbaden. Wiózł on z sobą groźne wieści, o wojnie mającej wybuchnąć między Francją a Prusami. Był to dzielny Bretończyk, godny potomek rodu prawdziwie rycerskiego. Nie szło mu o jego własne bezpieczeństwo, ale jako najbliżej stojący koło Wielkiego Ołtarza, wiedział, jak Francja jest na tę wojnę nieprzygotowaną, przeczuwał straszny kataklizm, który miał spaść na jego wielką ojczyznę.

Chociaż nie był wcale w humorze balowym, uproszony przez żonę, towarzyszył jej i Blance do *Kurhauzu*, tem bardziej, że pani de Nangis, dla lekkiej niedyspozycji, córkę im pod opiekę oddała.

Dotąd margrabina ani przeczuwała, że nienawistny jej Michaud pogonił do wód za niemi; tak umiał ukryć się przed jej baczuem okiem. Ztąd prosto wybierała się do owej stryjenki, mającej syna jedynaka Raula de Nangis. Łudziła się nadzieją, iż pobawiwszy na wsi z kilka tygodni, wyjedzie z Blanką, jako Raula narzeczoną.

Blanka była znowu prześliczną *Gretchen*, Leons sprawił sobie kostjum Fausta, de Lussac ugrymował się na przerażającego wszystkich Mefista.

Właśnie grono nam znajome powróciło z rozkosznej w parku wycieczki i wchodziło do sali balowej, gdzie muzyka intonowała walca Straussa: *Das Leben ein Traum*, gdy Mefisto rzucił od niechcenia propozycję, żeby, nim się tańce na dobre rozpoczną, całe towarzystwo dla oryginalności, przeszło się po salach do gry, obok umieszczonych.

Irma przyjęła propozycję z uniesieniem, reszta towarzystwa również nic nie miała przeciw temu. Jeden tylko Leons zadrżał, zbladł i rzekł głucho:

— Idźcie państwo, ja tu na was poczekam.

— Fe! Wstyd mi za pana — zasyczał mu nad uchem ostry i przenikający głos Mefista. — Nie zapominaj, że kobiety wszystko nam raczej darują, niż tchórzostwo.

Jak czystej krwi arab zraniony ostrogą, rzucił się Leons dotknięty do żywego, a podając ramię swojej czystej i białej *Gretchen*, rzekł głosem drżącym:

— Chodźmy!

— Zostańmy raczej. — Blanka słodko szepnęła. — Wój również nieciekawy tego widoku, dotrzyma nam towarzystwa.

Znowu uczuł na sobie wzrok ironiczny Mefista i zobaczył uśmiech jego drwiący. Krew falą płomienistą do głowy mu uderzała i szybkim ruchem pociągnął ku drzwiom sal gry swoją towarzyszkę, z szorską odpowiedzią:

— Nie jestem przecie dzieckiem, które boi się cieniu własnego!

Cisza złowroga tutaj panowała, owa cisza przed burzą, która, gdy w powietrzu zawiśnie, ptaki w dzień biały, łopocąc trwożnie skrzydełkami, usypiają, zwierz dziki, kataklizm w naturze przeczuwając, głębiej w las ucieka, muszki brzęczyć przestają, a piersiom ludzkim brak oddechu.

Chciałaby przemówić Blanka do niego; taki strach i ból razem w sercu czuje, iż znalazłaby na ustach słowa czułe, przekonywające; zresztą na pamięć matki by go zaklęła. Pod wzrokiem przeszywającym Mefista, głos jej w piersi zamiera, zresztą wuj kładzie palec na ustach, ażeby przestrzedz całe towarzystwo, że tu mówić nie wolno.

Zbliżyli się do stołu z ruletą.

Słychać monotonny głos *crupierów*: „*Rouge — trente et un*“; kula, wprawną ręką puszczona leci i wiruje, brzęczy i terkocze tak dziwnie, tak przenikająco, że aż dreszcz wstrząsa obecnymi. Na niejedno czoło występuje pot kroplisty, drżące i skurczone ręce wyciągają się naprzód, ni to szpony krogulca po zdobycz; oczy graczów błędne, rozgorączkowane, wpatrują się w stosy złota, coraz wyżej napiętrzone.

Leons to blednie, to czerwienieje; wreszcie przesunął dłonią po czole wilgotnem, jakby chciał straszną zmorę odpędzić od siebie.

— Idźmy dalej — szepcze głucho.

— O! idźmy, idźmy! uciekajmy ztąd! — drżącym głosem odpowiada Blanka. — Straszno mi tutaj, jakby w zbójów jaskini! Nienawidzę gry i graczów!

— I ja również — niby we śnie powtarza po niej Leons, ale gdzie spojrzy, nawet na włosy swojej ukochanej, złoto! złoto! ów stos tam na stoliku rozsypany, zewsząd go olśniewa, a uśmiech szatański Mefista, zdaje się na to złoto wskazywać.

I znowu przechodzą koło innego stołu. Tu bankier ciągnie *Faraona*. Karty z szybkością błyskawicy w rękach migają, słychać ich szelest tak ponętny, tak ucho łechcący... ileż to razy Leons w tem samem miejscu, wyczekiwał z sercem bijącem na kartę wyjść mającą, zaginał *parol* na sumy bajeczne, bądź je garnąc, bądź tracąc.

— Nie podoba mi się ta zmarszczka na twojem czole, panie Leonsie, i ta nagła zmiana w całym ustroju — szepcze mu słodko Blanka. — Pamiętaj, coś przyrzekł matce umierającej. Jeżeli mi życzysz co dobrego, nie wrócisz tu więcej!

Muzyka właśnie grać przestała w sali balowej. Irma skorzystała z tej pauzy, aby pójść do damskiej garderoby i poprawić coś popsutego w toalecie. Wzięła Blankę pod rękę i obie znikły z sali.

— Jak tu dzisiaj duszno! — westchnął Leons, ocierając pot z czoła.

— Ochłódźmy się szampanem — usłyszał głos syczący Mefista, który go z oka nie spuścił.

Podprowadził go do bufetu i nalał puhar olbrzymi.

— Zdrowie naszych bogdanek, — zawołał, a jednocześnie butelkę stawiając, przypadkiem zapewne, stuknął wielkim sygnetem, który nosił na średnim palcu, o brzeg kielicha.

Czy razem z przebraniem wykradł piekłu ogień pożerający, czy z sygnetu wpuścił do wina jad zatruty, dość że Leons wypiwszy kielich duszkiem, uczuł żar palący w żyłach, zachwiał się, w głowie mu się zakręciło, w oczach pociemniało, ręce febrycznie drżeć poczęły.

— Cóż to za wino piekielne! — mruknął z niechęcią.

— Ogniste jak twoja miłość! — zaszydził de Lussac — tylko się trzymaj ostro panie Leons, a wszystko pójdzie gładko. Kobiety wtedy prawdziwie kochają, jeżeli czują pana nad sobą. Skoro stajemy się ich niewolnikami, pogardzają i bawią się, kaprysząc i wydziwiając nad nami, jak dziecko ze starą zabawką. Pójdę szczęścia spróbować. Czy twoja księżniczka, panie Michaud, zakazała ci nawet patrzeć jak drudzy stawiają? Czy już zupełnie chodzisz w spodniczce szanowny młodzianie?

— Ostrożnie panie de Lussac! — obrószył się Leons — żebym nie musiał przypomnieć ci dobitnie, że jestem dotąd mężczyzną, który nie wszystkie żarty znosi i nie zawsze na nie pozwala.

— Wypijmy więc na zgodę i niech żyje prawdziwa męska niepodległość!

Znowu się kielichy napełniły, a po tej drugiej libacji, wziął de Lussac pod ramię Leonsa i jak automata bezwładnego, do sali gry poprowadził.

Usiedli do *Faraona*. Z początku stawiał tylko de Lussac, a Leons okiem pałającem gonił karty rzucane. Powiódł wzrokiem po sali. Wszystko zdawało się wirować w koło i tańczyło jakiegoś młynca szalonego, a wśród tego zamętu, dwoje oczów dzikich, żarzących bezustannie za nim goniło, piekąc go gdzieś aż do mózgu, jakby żelazem rozpalonem. To Heloiza tak się w niego wpatruje z włosem niedbale w długich lokach, po białych ramionach spływającym, w sukni z żółtego atłasu, ubieranej gazą tegoż koloru i kaktusami ponsowemi podpinanej. Piękniejszą jest niż kiedykolwiek; pociąga go ku sobie siłą jakąś nieprzepartą.

— Ona także cała ze złota! — szepce Leons nieprzytomnie. — Złoto piękna rzecz! niech kto co chce mówi.

I rozmarzony, oszołomiony, sam grać zaczyna. Stos złota rośnie i rośnie, on z rozkoszą gnie parol za parolem, odrzucając na bok banknoty.

Złota tylko pragnie, złota, złota jak najwięcej!

Słychać z sali balowej pierwsze dźwięki kadryla. Wszak Blankę do niego zaangażował? Z pośpiechem gorączkowym napełnia złotem kieszenie, a paczkę banknotów w kłębek zwiniętą, rzuca niedbale na kolana Heloizie. Gdy odwrócił się, aby wrócić do sali balowej, z rąk Mefista coś także pada na łono drgające tancerki. To medaljon, Leonsa talizman! Winem i grą upojony, nie uczuł, gdy mu zręcznie przeciął wstążkę na szyi i lekko ku sobie medaljon pociągnął. Z okiem roziskrzonem, z dzikim śmiechem tryumfu, porywa i ciśnie w dłoni Heloiza cacko znienawidzone. Tak, to złoty kosmyk Blanki włosów, a to kwiat biały, który *Gretchen* obrywała, aby przyszłość zbadać...

Leons staje przed Blanką, z włosem w nieładzie, z wzrokiem błędnym, z czołem potem zroszonem.

— Zkąd pan wracasz? — mierzy go Blanka z wyrazem pogardy w oku, od głowy aż do stóp.

— Wracam, skąd mi się podobało! — ofuknął się szorstko Leons. — Jestem mężczyzną, nie dam się na pasku wodzić. Dla zabawki postawiłem kilka razy, miałem szczęście szalone i oto ile złota wygrałem.

— Tem gorzej! — Blanka zimno odrzecze na widok garści dukatami brzęczącej. — Szlachetniej dać się obedrzeć, niż samemu rozbijać.

— Pani! cofnij to słowo hańbiące! — Leons porywa ją za rękę namiętnie.

— Precz odemnie wiarołomco! precz! — Blanka z dumą rodu swojego głowę podnosi, rękę przed nim usuwając. — Niech się pan więcej nie ośmiela ręki mej dotykać. Między nami wszystko skończone panie Michaud. Przed chwilą nie taiłam przed tobą zdania, iż dom gry za jaskinię zbójecką poczytuję... gorzej nawet jeszcze! Zbój życie częstokroć naraża, a gracze tylko honor na kartę stawiają. To w każdym razie taniej kosztuje, nieprawdaż panie Michaud? A słowa przysięgi, u łoża matki konającej wymówione, to także błachostka, o której dla zabawki zapomnieć łatwo! O! zawiodłam się na panu, gorzko, boleśnie... niech ci Bóg przebaczy ból straszny, który w sercu czuję i niech cię nadal ratuje. Ja pana żegnam na zawsze.

Odeszła ku wujowi i mdlejąca, uczepiła się jego ramienia, prosząc, aby czem prędzej na świeże powietrze ją wyprowadził. Leons słowami pogardy spiorunowany, został na miejscu, jakby wrósł w ziemię.

— Cóż, dąsa się bardzo księżniczka? — usłyszał znowu drwiący głos pana de Lussac.

— Szatanie! łotrze! — rzucił się Leons ku niemu z okiem krwią nabiegłem i z pięściami zaciśniętemi: — To twoja sprawka! Ty mi za wszystko odpowiesz!

— Za co? — roześmiał się de Lussac szyderczo. — Czyż ja mam odpowiadać, że pięknej, arystokratycznej damie, sprzykrzył się wkrótce plebejuszowski adonis, a ponieważ projektuje małżeństwo stosowne pod każdym względem, aby jej plebejusz nie bruździł przypadkiem, korzysta w lot z pierwszej lepszej sposobności, aby pozbyć się go raz na zawsze. Czyż kobieta, która kocha, zdobyłaby się na tak ostre wyrzuty? Zresztą cóżeś to pan za tak wielką zbrodnię popełnił? Pograłeś chwilkę w *Faraona*. Pokaż pan najlepiej tej dumnej pannie, że sobie nie wiele z tego robisz. *Vive la joie*! Chodźmy do Heloizy, ta cię kochała i kocha

prawdziwie. Zdeptałeś ją, odtrąciłeś z pogardą, a ona jak pies wierny, czeka tylko pańskiego skinienia. *Sapristi*! — strzepnął palcami — to mi kobieta! Wulkan prawdziwy, a nie zimna, sztywna lalka salonowa.

— Ha! ha! ha! — wybuchnął Leons śmiechem tak dzikim, że aż de Lussac przestraszył się tegoż — bądźmy więc weseli, brnijmy dalej! Czuję ogień w żyłach, a piekło w sercu; idźmy ugasić w błocie rozpusty te płomienie. Żegnaj śnie mój czysty, żegnaj moja *Beatrice* jasnowłosa! Lećmy napowrót w objęcia jadem trującej Satanelli!

Wpadł do sali gry i porwał za rękę Heloizę:

— Kochasz mnie jeszcze? — szepnął głucho. — Potrzebuję odurzyć się twojemi pocałunkami, zapomnieć w twojem objęciu, żem był na krótką chwilę innym człowiekiem.

Heloiza skoczyła na równe nogi i biorąc pod ramię, całem ciałem przytuliła się do Leonsa miłośnie.

— Chodźmy ztąd najdroższy — zaszczebiotała cichutko — nad stawem, cicho, pusto i ciemno. Idźmy w tej ustroni święcić odrodzenie miłości naszej.

Pociągnęła go z sobą odurzonego i prawie bezprzytomnego.

Blanka również z wujem ku ulubionej wysepce zdążała, gdzie tak słodko nieraz marzyła, takiem światłem nadziemskiem otaczała w myśli postać Leonsa, w tak idealne szaty ubierała swoje bożyszcze, a obecnie zobaczyła w puch rozbite, u stóp jej w prochu leżące.

Mimo zwykłej łagodności i chrześcijańskiej rezygnacji, rozpacz ją ogarniała, serce młode z bolu pękało, wyschły łzy nawet z oczach rozgorączkowanych, tylko głuche łkania pierś jej rozrywały. Upadła na pierwszą ławeczkę przy mostku i tuliła główkę rozpaloną do ramienia wuja, który dotąd nie miał odwagi przerwać milczenia.

Wtem piasek zatrzeszczał pod czyjemiś krokami na drugiej stronie stawku, a chociaż księżyc blade światło rzucał, dwie postacie po ścieżce się przesunęły, i zamigotała jej przed oczyma suknia złocista Heloizy.

— Wuju, wuju! to Leons! — szepnęła Blanka — więc mu tak łatwo było o mnie zapomnieć.

Naprzeciw Blanki i jej wuja, których osłaniała swoim cieniem wierzba płacząca, usiadła Heloiza, a Leons stał przed nią, kończąc widocznie zaczętą rozmowę:

— Nie wymawiaj mi tamtej miłości Heloizo, której ani chcę, ani mogę się wyprzeć. Przy tobie szalałem, upojony dziką namiętnością, przy tobie czułem instynktowo, że stoję na kraterze wulkanu, który lada chwila może mnie całego pochłonąć i spalić ogniem pożerającym. Tamta zaś jasnowłosa czarodziejka, była dla mnie tem, czem dla niemowlęcia matki ramiona, matki głos słodko usypiający. Była to cicha, jasna ostoja, w której chciałem spocząć po burzach życia i śniłem, że u boku tego anioła, już mię nic złego spotkać nie może. Zawiodłem się na jej sercu. Skoro mi się noga powinęła, odtrąciła mnie dumnie i bezlitośnie, zamiast podać dłoń pomocną i ratować z otchłani. A więc i ja spróbuję wymazać ją z pamięci i napowrót wracam do ciebie, po ową słodką truciznę, której tyle chwil rozkosznych zawdzięczałem. Kochajmy się na nowo Heloizo, u nóg twoich oto, błagam o tę miłość, którą niebacznie odrzuciłem.

— Ha! ha! ha! — zabrzmiał głos ostry i szyderski, a Heloiza wyprostowała się dumnie, patrząc z pogardą na klęczącego Leonsa. — Więc pan doprawdy byłeś o tyle naiwny, czy tak szalenie zarozumiały, iż przypuszczałeś, że skoro skiniesz łaskawie, Heloiza, jak pies obity, u nóg ci się skomląc położy? że raz zdeptana i odtrącona, znowu cię miłością swoją obdarzy? Grubo się omyliłeś mój panie! Ale żmija zdeptana mści się i ja zemsty pragnęłam, całą duszą przyzywałam i nadeszła wreszcie jej godzina! Pamiętasz, jak tak samo ja, dumna, przez tysiące ubóstwiana Heloiza, tarzałam się w prochu u nóg twoich, o litość, o okruszynkę bodaj miłości błagając? Wtedy tyś mi z gryzącą ironią zdaleka medaljon pokazał: „Oto moja tarcza, oto mój talizman przeciw tobie“ — rzekłeś! — I ja mam teraz w ręku talizman, dla mnie nieoceniony, bo niszcząc go, mogę zadać ci ranę równie głęboką, jak ta, którąś w ów wieczór przeszył serce moje. Przypatrz mu się dobrze panie Leonsie Michaud.

Podniosła z tryumfem ręce do góry, a w blasku księżycowym zalśnił przed oczyma Leonsa, jego własny medaljon, najdroższa po matce pamiątka. Zanim zdołał się opamiętać, Heloiza cisnęła medaljon na sam środek stawu:

— A teraz szukaj pan twoich świętości na dnie toń wodnych — zarychotała śmiechem szatańskim. — Łono ich równie zimne i nieczułe, jak serce twojej jasnowłosej *Syreny*!

Znikła jak senne widziadło w śród cieniu drzew i klombów, a Leons dotąd z rękami rozpaczliwie we włosy wplecionemi, stał w miejscu jak skamieniały.

— Ha! dobrze robisz Satanello — jęknął głucho — albo odszukam mój talizman, lub też pozbędę się życia ciężaru.

W chwili, gdy chciał się rzucić do wody, czyjaś drobna, biała rączka spoczęła na jego ramieniu. Przed nim stała Blanka.

— Stałeś się niegodnym ostatniej po matce pamiątki, boś złamał daną jej na łożu śmiertelnem obietnicę — przemówiła łagodnie, lecz stanowczo. — Bóg ci ją odebrał Leonsie, czyż myślisz jednak, że samobójstwo zmaże winę? Nie! to jedna więcej podłość, uciekać od życia, zamiast stoczyć z niem walkę i wyjść z niej zwycięsko. Jeżeli istotnie chcesz życie narażać, idź walczyć za kraj. Francja będzie potrzebowała dzielnych obrońców. Gdybyś nie mógł inaczej cienia matki przebłagać — głos jej na chwilę łkanie stłumiło — Bóg zeszle ci śmierć na polu chwały, a pamięć twoją święcić będą, jako bohatera, który krew przelał za ojczyznę. Ja wiernie czekać będę na ciebie, a gdybyś nie miał

wrócić... może Bóg w miłosierdziu swojem i mnie umrzeć pozwoli!...

Łzy rzęsiste ulżyły jej sercu ściśnionemu. Leons leżał u jej nog, całując je w uniesieniu.

— Więc mnię kochać nie przestałaś, Blanko moja, aniele czysty, świetlany! Pójdę gdzie każesz i albo legnę w boju, lub wrócę godny ciebie!

Podniosła go z ziemi i czoło jasne, podała do pocałunku.

Długo, długo jeszcze rozmawiali, a wuj poczciwy nie śmiał przerywać tej ostatniej chwili pożegnania. Któż mógł przewidzieć, czy jeszcze kiedy zobaczą się na tej ziemi?

Brzask poranny zastał ich na ławeczce, w kłąbie jasminu i ten im dopiero przypomniał, że trzeba rozłączyć się nareszcie.

Jeszcze raz przycisnął do piersi jej jasną główkę, i odszedł, aby spakować się i wracać do Paryża.

XV.

KRADZIEŻ BRYLANTÓW.

Z pospiechem gorączkowym pakowała kufry i pudełka Heloiza, aby czemprędzej Wiesbaden opuścić. Ziemia tu zdawała palić się pod jej stopami; zemściła się wprawdzie, ale serce ją nie mniej bolało, że tak ciężko dotknęła człowieka, którego dotąd bądź jak bądź, szaloną miłością kochała. Do Paryża tym razem wracać nie chciała. W czasach wojennych, potrzebniejsze są lazarety, a w nich siostry miłosierdzia, niż teatra i baletnice.

Miała świetną do Petersburga propozycję; chciała więc czas jakiś w Wiedniu przepędzić, a z tamtąd udać się do Petersburga na cały sezon.

Właśnie kończyła układać precjoza, któremi wczoraj była osypana, gdy najprzód dzwonek głośno się odezwał w przedpokoju, za chwilę zaś później drzwi się z trzaskiem otworzyły, a na progu ukazał się de Lussac.

— Cóż to znowu za napad? — spytała gniewnie tancerka. — Odkąd że wolno wchodzić do mnie bez anonsowania?

— Nie głupim się zapowiadać, żebyś mi jeszcze prędzej filutko z przed nosa frunęła — de Lussac odrzekł ironicznie, a drzwi starannie zaryglowawszy, rozsiadł się zuchwale na najbliższym fotelu.

— Jak widzę — rzucił okiem w około — na dobre się wybierasz moja królowo. To wcale niegrzecznie, nie pożegnawszy starych przyjaciół i rachunku z nimi nie skończywszy.

— Jakiego rachunku?

— Naiwne pytanie! Czyż to nic nie warte, że Leons znowu grać zaczął, że go napędziła od siebie jego *Circe* jasnowłosa? A zręczne eskamotowanie owego zaczarowanego talizmanu, przyczem skórę moją grubo narażałem, bo gdyby Leons był mnię złapał na gorącym uczynku, byłbym się miał z pyszna!

— Na ileż więc tysięcy oceniłeś te przysługi przyjacielskie?

— Ho! ho! z tak górnego tonu zaczynamy księżniczko. Poczekaj, rachunek nieskończony. Ponieważ samowolnie kontrakt zerwałaś i w spekulacjach pomagać mi nie chcesz, czem w interesach moich ogromny, zastój sprowadziłaś, żądam bezwłocznie zwrotu sum, które przesunęły się przez twoje różowe paluszki. Oto ich spis dokładny.

— Wiesz dobrze, że ich nie mam. Dawałeś na to tylko, abym pieniądze w kurs puszczała czemprędzej.

— I póki byłaś moją wspólniczką, o nic się nie upominałem. Skoro jednak usuwasz się od wszystkiego, likwiduję straty poniesione i żądam opłaty natychmiastowej. Daj pokój dzwonieniu, życzę ci, bo nim kto wejdzie, będę zmuszony użyć rewolweru. Jestem bez funduszów, a radbym opuścić czemprędzej Europę; rozpaczliwe zaś jak moje położenie, bywa zwykle złym doradcą. Będziesz tedy łaskawą dać mi twoje brylanty...

— Nigdy, przenigdy! wolę śmierć.

— Złe wyrachowanie lubciu. Za życia możesz jeszcze drugie takie brylanty... wytańczyć, a po śmierci będzie na to za późno. Zresztą... jak ci się podoba... ja zawsze mam jeszcze różne drogi przed sobą. Nawet ciebie sprzątnąwszy, mogę ujść szczęśliwie z brylantami. Czy to jedno na świecie morderstwo nie zostało dotąd odkrytem.

Tancerka targając włosy w niemej i bezsilnej rozpaczy, rzuciła mu w ręce szkatułkę z brylantami.

— A teraz siadaj najmilsza moja i pisz rewers, jakoś mi oddała tę szkatułkę za dług, u mnie zaciągnięty. Gotowa byś mnię zadenuncjować, żem ci ukradł brylanty. Między dobrymi przyjaciołmi, ostrożność nie zawadzi.

— Słuchaj Maks! — przyskoczyła do niego z okiem gorączką pałającem — gotowam zostać twoją żoną i popłynąć do Ameryki, tylko mi brylantów nie zabieraj!

— Ha! ha! ha! — wybuchnął śmiechem szyderskim — zapominasz, że ja kończyłem twoją edukację. Wiem co potrafisz i nie myślę na to się narażać. Pisz, bo czas ucieka.

Podyktował słów kilka i schował kawałek papieru podpisany, z krwią najzimniejszą do kieszeni.

Następnie otworzył szkatułkę, porachował, czy czego nie braknie, włożył pod paletot, a ukłoniwszy się z ironiczną galanterją, znikł z pokoju. Heloiza z załamanemi rozpaczliwie rękami na fotel upadła.

Znowu za chwilę zadzwoniono w przedpokoju, a Żaneta pana Durand zaanonsowała.

— Nie chcę widzieć nikogo! — było pierwszem słowem tancerki, jednak szybkim ruchem ręki Żanetę wstrzymała, trąc czoło myśleć zaczęła i wreszcie zdecydowała się przyjąć gościa.

— Czy to prawda, że nas pani tak prędko opuszczasz? — zagadał od progu Durand, całując z uniesieniem rączkę Heloizy. — Wieść tę smutną zwiastował mi na drodze de Lussac.

— Tak jest, odjeżdżam, bo i któż tu się pyta o mnie? — z umizgiem tancerka odrzekła — któż zajrzy kiedy?

— Ależ wszyscy leżymy u nóg twoich piękna czarodziejko! — wykrzyknął Durand z zapałem. — Ja pierwszy, w ogień i w wodę skoczyłbym dla ciebie.

— Tymczasem wypij za moje zdrowie i podróż pomyślną. — Heloiza dostała flaszkę tokaja i spory kielich mu nalała, wprzód usta różane do niego przytknąwszy. — A potem może i na próbę wystawię twoją galanterją.

— Spełnię wszystko co rozkażesz — odrzekł uszczęśliwiony i zachęcany przez Heloizę, wychylał jeden kielich po drugim.

Gdy uznała, że dość jest upojony mocnem winem i zalotnemi jej zaczepkami, Heloiza zaczęła z ogródka, ostrożnie, ciągnąć go za język po troszę.

— Słuchaj no Durand — spojrzała mu czule w oczy — ty znasz całe życie Maksa de Lussac, co on miał za zajście i kiedy, z margrabiną de Nangis? Widzisz, oświadczył mi się i ja mu nawet, jako przyszłemu małżonkowi, powierzyłam część moich brylantów...

— Oho! tyle go będziesz widziała, razem z brylantami! — mruknął na pół pjany Durand.

— Czy być może? Więc to taki łotr skończony?

— Nie inaczej! Szatan wcielony! Znam ja jego sztuczkę niejedną... ale nie mogę zdradzać przyjaciela...

— Gdzie on tam twój przyjaciel! Wstydzi się ciebie, powiada: że szubienica cię nie minie, a on z wisielcami nie lubi mieć do czynienia.

— Proszę! Nie wiedzieć kto dojźralszy do stryczka! — bełkotał coraz mniej przytomny Durand — jam nikogo nie zabił, a on, ten łotr żyd... bo to nie żaden de Lussac... prosty Isaak Levy, żyd z Alzacji... otóż on skradł najprzód brylanty, tak jak tobie, narzeczonej, Julji Granville, udając hrabiego de Tournelles, a gdy go brat jej w lesie dopędził, ugodził go kulą śmiertelnie.

— Ale jakże się tam mógł dostać?

— Czego by taka sprytna sztuka nie dokazała? Wiesz przecie, że każde pismo umie naśladować, mówi doskonale kilkoma językami i każdą rolę gra znakomicie. A jak się umie odmładzać! To człowiek blisko sześćdziesiątletni.

— Jakże ty się o tem wszystkiem dowiedziałeś?

— Hm! hm! i jam nie w ciemię bity. Kilka razy go podpiłem, a wtedy nie z jednem się wygadał. Naprzykład z tą Nangis... ona z domu hrabianka Kervadek, Adolf de Granville był jej kochankiem... dlatego to Maks nie bardzo jej pewny i zawsze obawia się jej wzroku bacznego. Gdy miał tu przyjechać, ot, co mi pisał z Paryża.

Podał Heloizie list z pularesu. Była tam cała instrukcja, co do urządzenia salki do gry tajemnej, także rozkaz, aby przenieść gdzieindziej przyrządy do fałszowania banknotów, i wreszcie tych kilka słów o margrabinie de Nangis:

„Stara wiedźma nie zdaje się mnie poznawać, jednak jest czasem coś w jej oczach, co mi się nie podoba. Dopóki ocean nas nie przedzieli, nie będę spokojny. Żałuję w ogóle, żem do Francji napowrót zawitał. Cień Julji i jej brata z piersią zkrwawioną, wszędzie mnię prześladuje. Taki trup na naszej drodze, to balast wcale niepotrzebny. Wybiera się również stara do Wiesbaden. Co to ma znaczyć? Zdaje się jednak, że o odszukaniu mordercy Adolfa wcale już nie myśli. Kto zresztą zbadał kobiety? Lepiej zawsze mieć się na baczności“...

Heloiza zręcznie list rzuciła pod biurko po za siebie, a inny papier podsunęła drzemiącemu swojemu gościowi. Gdy chrapnął głośno, wysunęła się na palcach z pokoju, poleciła Żanecie, aby uważała kiedy się pan Durand obudzi, a sama, zebrawszy się na prędce, poleciała do Irmy prosto.

Zastała ją w łóżku jeszcze, po balu, z którego dopiero o białym dniu wróciła; skoro jednak usłyszała, że panna Chênois chce ją widzieć w pilnym interesie, kazała ją prosić bez ceremonji.

— Pani — zaczęła od razu Heloiza — nie mamy czasu na długie wywody i przygotowania. Czy zależy na tem margrabinie de Nangis, aby pomścić krew przelaną, jej narzeczonego Adolfa de Granville, to mogę jej mordercę oddać w ręce. Tylko prowadź mnię pani do niej natychmiast, bo czas nagli.

— Któż to taki? Gdzież dowody?... — spytała Irma w najwyższym stopniu zaciekawiona.

— Chodźmy do margrabiny, tam wszystko opowiem... na pospiechu wszystko zależy.

— Ha! więc idźmy! — Irma zawołała, zbierając się czemprędzej.

Margrabina dumna i nieprzystępna, zrazu bardzo zimno przyjęła zwierzenia Heloizy, myśląc, iż to szpieg wysłany przez Maksa de Lussac, a właściwie przez Izaaka Levy, aby ją wybadać. Gdy jednak tancerka ją zapewniła, że i ona jest przez niego pokrzywdzona, gdyż wydarł przemocą brylanty, stanowiące cały jej majątek, uwierzyła wreszcie w prawdziwość słów Heloizy i dała się namówić do kroków stanowczych i jak najszybszych. Irma wróciła natychmiast do domu, aby męża przyprowadzić i razem całe grono udało się do policji.

Tu zastano grunt gotowy, gdyż Durand, mszcząc się za pogardę doznawaną od wspólnika i niby przyjaciela, doniósł był dniem przedtem listem *anonym*, o istnieniu salki do gry i piwnicach niebezpiecznych na dole. Policja miała już na oku dom cały i wietrzyła zdaleka, aby ptaszków połapać. Zeznanie margrabiny bodźca jeszcze nowego dodało i zaostrzyło czujność ajentów policyjnych. Prosząc o jak najgłębszą tajemnicę, dyrektor policji pożegnał uprzejmie gości swoich niezwykłych, list ów, który udało się Heloizie pochwycić od Durand'a, zachowując do dalszego użytku przy indagacjach, gdy potrafią złowić zbrodniarza.

XI.

TALIZMAN ODSZUKANY.

Musimy w powieści naszej wstecz zawrócić i zobaczyć, co się też z Blanką stało, po pożegnaniu z Leonsem.

Na pół omdlałą, w skutek nadmiaru wrażeń gwałtownych, wuj znowu na wysepkę odprowadził, aby tam miała czas przyjść do sił i wrócić do przytomności.

Słodkiemi słowy, koił jak mógł jej ból i trwogę, zapewniał, że nie wszyscy przecież na wojnie giną, a gdy Leons wróci sławą okryty i jej matka prędzej da się ubłagać i przyjmie go za zięcia. Łzy ciche, a rzęsiste, ulżyły trochę ciężaru sercu jej ścieśnionemu, otarła oczy i wzrokiem błędnym goniła lilje wodne, kołysane zwolna falami, któremi wietrzyk poranny silniej niż zwykle poruszał.

Wtem lekko krzyknęła, wskazując wujowi paluszkiem jedną z tych roślin, o liściu szerszym i bujniejszym od innych, na której, w blasku różowej jutrzenki, coś odbijało od matowej lilji białości, coś, co nie było rosy kroplami.

Wuj długim prętem z wierzby wyciętym, próbował przyciągnąć lilję po wodzie pływającą i wkrótce udało mu się dobić z nią do brzegu szczęśliwie. Niosła ona w samej rzeczy zawieszoną wstęgę w raz z medaljonem i teraz przyszło z łatwością uwolnić roślinę od tego ciężaru niezwykłego.

— Boże! Boże! To cud łaski twojej! — zawołała w uniesieniu Blanka wznosząc oczy w niebo — teraz jestem już o życie Leonsa spokojna. Pamiątka po matce strzedz go będzie i pierś jego zasłoni przed kulą nieprzyjaciela.

— A jabym jednak nie życzył ci dziecię — wuj wtrącił łagodnie — oddawać mu w prost ten skarb drogocenny. Widziałaś jak był słabym w obec pokusy, niech martwi się trochę, niech pokutuje za swoją lekkomyślność, a wyjdzie mu to na najlepsze.

— Ależ ja nie mogę pozbawiać go takiej tarczy, takiej pociechy!

— Jeżeli więc taką cudowną siłę medaljowi przypisujesz, owiń go, obszyj w co chcesz, w szkaplesz naprzykład, z twojej szyi zdjęty, a ja mu to odniosę jako pamiątkę od ciebie. Możesz do niego i list napisać, a ja wezmę od Leonsa słowo honoru, że pakieciku nie rozwiąże, póki, z wojny powróciwszy, napowrót z tobą się nie zobaczy.

Przystała na to Blanka i wrócili do pomieszkania, przez nikogo nie spostrzeżeni, gdyż bal trwał jeszcze w najlepsze. Irma jedna spostrzegła nieobecność męża i Blanki, w ciągłym jednak wirze tańcu, bawiąc się doskanale, ze zwykłą u niej lekkością, prawie o nich zapomniała. Gdy wreszcie o białym dniu męża wchodzącego do sali zobaczyła:

— A gdzież Blanka? — cicho spytała.

— Opowiem ci w domu — mąż odszepnął. — Możebyśmy już wyszli, co?

Zwykle na takie zapytanie, krzywiła się Irma niemiłosiernie. Ona lubiła ostatnia bal opuszczać. Tym razem jednak, uderzył ją niezwykły wyraz w oczach męża. Mocno zaintrygowana, nie ociągała się dłużej i na powrót pozwoliła.

Blanka wsunąwszy się cichutko do swojego pokoiku, nie rozbierając się wcale, do listu usiadła:

„Panie Leonsie“! — pisała, oczy często z łez ocierając. — „Nie jestem o tyle zarozumiałą, abym mogła przypuścić, iż dar z rąk moich, wyrówna pamiątce po matce. Jednak przyjm pan dobrem sercem ten szkaplerz odemnie, który łzami oblewam, gorąco Boga błagając, żeby ci był tarczą przeciw wszelkim niebezpieczeństwom i odtrącał od piersi twoich kule nieprzyjacielskie. Musisz pan atoli dać wujowi mojemu słowo honoru, że pakieciku nie rozprójesz, póki napowrót się nie zejdziemy, lub... gdybyś pan, co chroń Boże! czuł się bliskim śmierci. Ufam, że pan tego słowa nie złamiesz i że w niedługiej przyszłości odbiorę z rąk pana pakiecik nietknięty, a wtedy, ja sama panu go otworzę. Bóg niech pana w bój prowadzi, a cień drogiej matki twojej, niech cię przed niebezpieczeństwem osłania. Ja, com przyrzekła... dotrzymam“.

„Blanka“

Odpięła od warkoczy spuszczonych wstążkę niebieską, wyszyła na niej białym jedwabiem „Bóg z tobą“, a owinąwszy medaljon najprzód w watę, potem w kawałek białego atłasu, na wierzchu szkaplerz z Marją Niepokalanie poczętą przyszyła i do wstążki przymocowała. To wszystko wraz z listem wsunęła pod poduszkę, a rozebrawszy się na prędce, rzuciła się na łóżko i zasnęła snem gorączkowym, niespokojnym, pełnym straszliwych obrazów, wojny, pożogi, jęków rannych i Leonsa krwią zbroczonego. Już było koło południa, gdy usłyszawszy lekkie drzwi skrzypnięcie, zerwała się z głuchym jękiem i siadła na łóżku oczy przecierając. To matka weszła do jej sypialni. Postać matki, zawsze poważna, dziś wyglągała dziwnie uroczyście; jakiś majestat cichy bił z jej bladej twarzy, jak u kapłana w chwili spełniania ofiary. Przycisnęła z czułością niewymowną główkę córki do łona, a całując ją w czoło:

— Módl się dziecię — rzekła — nadchodzi godzina, w której ma być pomszczoną krew Adolfa mojego.

Blanka ucałowała ręce matki choć nie wiedziała o co idzie właściwie i poprosiła o pozwolenie odwidzenia wujostwa.

— Idź dziecię, idź — matka rzuciła jej na odchodnem. — Rózia cię odprowadzi. Możesz tam nawet zostać na obiedzie. Potrzebuję być samą dzisiaj, z Bogiem i mojemi myślami. Jutro... może inne życie zaczniemy, weselsze, spokojniejsze i twojej matce ulży się ciężaru, skoro dopełni przysięgi, którą wykonała nad zimnemi zwłokami ukochanego.

Prędko się zebrawszy, pobiegła Blanka z listem i pakiecikiem do wuja i ten natychmiast, jak obiecał, udał się z tem do Leonsa. Zastał go na wyjezdnem,

wręczył mu list Blanki, który on z czcią rzewną do ust przycisnął i szkaplerz mu na szyi zawiesił, wziąwszy od młodzieńca uroczyste słowo honoru, że go nie ruszy, chyba gdyby śmierć mu w oczy zajrzała. Czule go pożegnawszy, wrócił do domu, aby zdać sprawę z poselstwa przed Blanką.

Z płaczem rzuciła się wujowi na piersi.

— Gdybym ja go tak mogła jeszcze choć na chwilkę zobaczyć — szepnęła.

— Za późno dziecię — wuj odrzekł łagodnie — i lepiej nawet się stało. On potrzebuje do nowego zawodu całej energji, a takie pożegnania za nadto nas roztkliwiają. Mam zresztą przeczucie, że wszystko dobrze się skończy i ty Leonsa zdrowego ujrzysz napowrót.

XVII.

NEMESIS.

— A więc dziś wieczór ostatni! — zawołał radośnie de Lussac, zamykając kufer. — Jutro o tym czasie ukołyszą nas do snu fale oceanu. Wyznam szczerze, że już mnię pali gorączka i napada istna podróżomanja. Nie mogę się doczekać tej chwili błogiej, kiedy ląd stały zniknie mi z przed oczu.

— I ja gotów jestem dać na mszę, byle Europę mieć za plecami — wtrącił Durand palący cygaro i rozparty wygodnie w fotelu. — Miałem tej nocy sen szkaradny, że nas obu na stryczku ciągnięto wprost do szubienicy. Brrr! gdym się obudził, chwyciłem się za gardło mimowolnie, czy też tam się już nie wpija sznurek złowrogi.

— *Cochemar*, nic więcej kochanku! — odrzucił drwiąco de Lussac. — W naszem oświeconem, dziewiętnastem stuleciu, wieszanie wyszło z mody. Zresztą za fałszywą grę w karty, jeszcze nikogo nie powieszono.

Mimo tego zapewnienia, poprawił nieznacznie krawatkę, jakby go nadto cisnęła.

— No, a gdyby tak wylazła jak szydło z worka — wyszeptał Durand, trwożnie w około się oglądając — owa historja w lesie nad Loarą... stara Nangis siedzi tu kamieniem, kto wie po co i na co...

— Głupstwo! — zaśmiał się głośno de Lussac. — Tyle miesięcy widujemy się niemal co dzień i miałażby w ostatniej chwili chcieć mię zatrzymywać? Jakiem prawem, na jakiej podstawie? Z tej strony niczego się nie obawiam i chociaż starej nienawidzę, obiecuję wypić za jej zdrowie butelkę szampana na pełnym oceanie, że była tak ślepą i głuchą. A choćby mnię była zresztą i poznała, gdzież znalazła potrzebne dowody? No, ale czas wielki na nas — popatrzył na zegarek. — Ptaszki, rade być podskubane, już napewno czekają. Pójdziemy, każdy osobno, żeby nie ściągnąć uwagi. Ja wejdę od dziedzinca, ty zaś od ulicy.

Kuferki pozamykał, klucze schował i wyszli razem.

Niedługo potem skradał się Durand, napowrót do pomieszkania Maksa jak kot ostrożnie i cichutko. Klucz podrobiony, zgrzytnął lekko w zamku, a on wsunął się do środka. Za chwilę wyszedł tak samo na palcach, zbiegł po schodach drzwi za sobą zamknąwszy i znikł na zakręcie ulicy.

W sali gry pełno i gwarno było tego wieczora. Mnóstwo zeszło się gołowąsych młodzieniaszków, zacietrzewionych jak młody kogucik, gdy głosem ochrypłym próbuje zapiać na płocie po raz pierwszy w życiu. Pośród nich uwijało się kilka sztywnych postaci, z głową siwą, lub przynajmniej dobrze szpakowatą, z miną uroczyście napuszoną. z cieniutkim rąbkiem ponsowym u dziurki od fraka, każącym się domyślać dawnych wojskowych, z wstążeczką legji honorowej. Nadaremnie czekał i czekał de Lussac na Durand'a, wreszcie zniecierpliwiony sam zasiadł bank ciągnąć w *Faraona*. Oprócz tego stołu, szła i ruleta, i kilka innych jeszcze stolików gracze obsiedli.

De Lussac był dziwnie wzburzony i niespokojny, nie przeszkadzało mu to jednak rzucać karty wprawną ręką i zgartywać stosy złota, zrzadka przegrawszy coś do kogoś. Bacznem okiem i po innych stołach powodził, obrachowując zysk możliwy i pilnując swoich wspólników.

Gra szła w najlepsze, gdy w tem, wśród ciszy uroczystej, która w sali panowała, usłyszano gwar na ulicy, na dziedzincu i ciężkie kroki na schodach. Czyżby o tak spóźnionej godzinie, Durand jeszcze nowych gości prowadził.

De Lussac zerwał się od stołu, nogi się pod nim zachwiały, usta sine, i kurczem nerwowym wykrzywione, zaczęły bełkotać jakieś rozkazy niezrozumiałe.

Nagle, jakby pod dotknięciem rószczki czarodziejskiej, otwierają się wszystkie drzwi na raz, od schodów, od korytarzy, a z cienia tychże wyłania się świecąca *pickelhauba* i bagnet lśni na ostro wbity.

— W imieniu prawa, aresztuję wszystkich panów — odzywa się tonem urzędowym, spokojnie ale dobitnie, oficer od żandarmerji, wszedłszy do głównej sali z pałaszem z pochwy wydobytym.

W okamgnieniu żandarmi kasę otoczyli, a oficer po kolei, zaczął nazwiska obecnych zapisywać. Byli to sami prawie niedorostki, bądź na wakacjach studenci, bądź kadeci i podchorążowie, wszyscy bez wyjątku synowie ludzi majętnych, niektórzy nawet z rodów magnackich, którzy wyszedłszy ztąd zgrani do nitki, gotowi byli nazajutrz wziąć na lichwę u żyda, lub nawet splamić nazwisko szlachetne bezpowrotnie, podpisując weksle fałszywe, byle tylko mieli z czego spłacić dług honorowy, oddać pieniądze w karty niecnie wyłudzone.

(Dokończenie nastąpi.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.